

Głos niczym skalna lawina

Magda Piskorczyk i jej zespół w klubie jazzowym Armer Konrad

Od naszego korespondenta: Michaela Riedigera

Weinstadt. Muddy Waters i Bo Diddley dali nam przykład takiego śpiewania w "I'm a man" – owo chrapliwe, niepokojąco gardłowe gulgotanie i szeptanie, jak gdyby coś im utknęło w przełyku. Tłumaczono to nadmiarem testosteronu. Dziś wiemy, że było to wyjaśnienie nietrafne. W swej wersji "I'm a woman" Magda Piskorczyk, wokalistka bluesowa z Polski, gulgotała i szeptała podobnie. Wynikło to z dwóch przyczyn: z faktu, że podczas koncertu w niemal szczelnie wypełnionej piwnicy jazzowej w dzielnicy Beutelsbach artystka zmagala się z przeziębieniem, i z okoliczności, że jej wokal potrafi brzmieć tak autentycznie, jak gdyby miała swe korzenie w Memphis, gdzie zresztą błyszczała kilkakrotnie podczas konkursów IBC.

Przed występem można było przeczytać, że głos Piskorczyk jest „czarny”, wręcz „brudny”. Jak gdyby w bluesie musiało tak być. Przed nami pojawiła się jednak delikatna kobieta w bieli, tryskająca muzykalnością i dysponująca altowym głosem o tak pierwotnej mocy, że jego drganie ogarniało publiczność niczym gorąca fala i skłaniało ją zgodnie z wolą piosenkarki do wszystkiego: śmiechu, płaczu, wspólnego klaskania, słuchania, zatopienia się. Brudny głos? Raczej przenikliwy, intensywny, a na pewno dynamiczny.

Do tego, że w pierwszej części koncertu faktycznie posłuchać można było szczególnie pierwotnego, archaicznego, do głębi „czarnego” bluesa, przyczynił się oszczędny styl perkusisty Grzegorza Zawilińskiego, ograniczającego się do uderzeń podstawowych kierowanych przede wszystkim na tomy; sięgał on też po tarkę lub poprzestawał na klaskaniu. Jakby dając przykład słuchaczom, którzy chętnie szli w jego ślady. A ponadto była jeszcze druga kobieta, Aleksandra Siemieniuk. Szarpała ona struny gitary elektrycznej i gitary dobro tak brutalnie i swobodnie, a zarazem z takim temperamentem i pomysłowością, że nikomu, kto miałby zamknięte oczy, nie przyszłoby do głowy, że ten zajadły atak na struny przeprowadza Europejka. Fantastycznie wypadła jej wersja „Come on into my kitchen” Roberta Johnsona. Siemieniuk okazała się być mistrzynią w pomijaniu dźwięków, specjalistką w strunowej ekonomii, stylistyką country-bluesową pierwszej klasy - jej uderzenia w struny, raz gwałtowne oraz hipnotyzujące, oddawały ducha tej muzyki.

Powyższe słowa nie umniejszają wkładu Magdy Piskorczyk. Przed jej wyrazistym, przypominającym skalną lawinę głosem nie ma ucieczki. Głos ten wznosi się od lirycznego tonu aż po przenikliwy krzyk, zdaje się być zdolnym do wszelkiej wokalne ekspresji, jakiej wymagają blues, gospel, funk czy reggae; dźwięczy w uszach jeszcze wiele godzin po koncercie.

Artystka śpiewała także własne piosenki, jedną nawet po polsku. Grała na gitarze akustycznej, perkusywnie i dokładnie, a także na basowej - przede wszystkim w drugim secie, w którym dominowała raczej muzyka funky i pojawiły się elementy reggae oraz afro. W tej części perkusista korzystał często z talerzy i werbla, brzmienie stało się szersze, mniej archaiczne a bardziej wymyślne. Nie malała przy tym intensywność muzyki i właśnie ona jeszcze długo pozostanie w naszej pamięci.